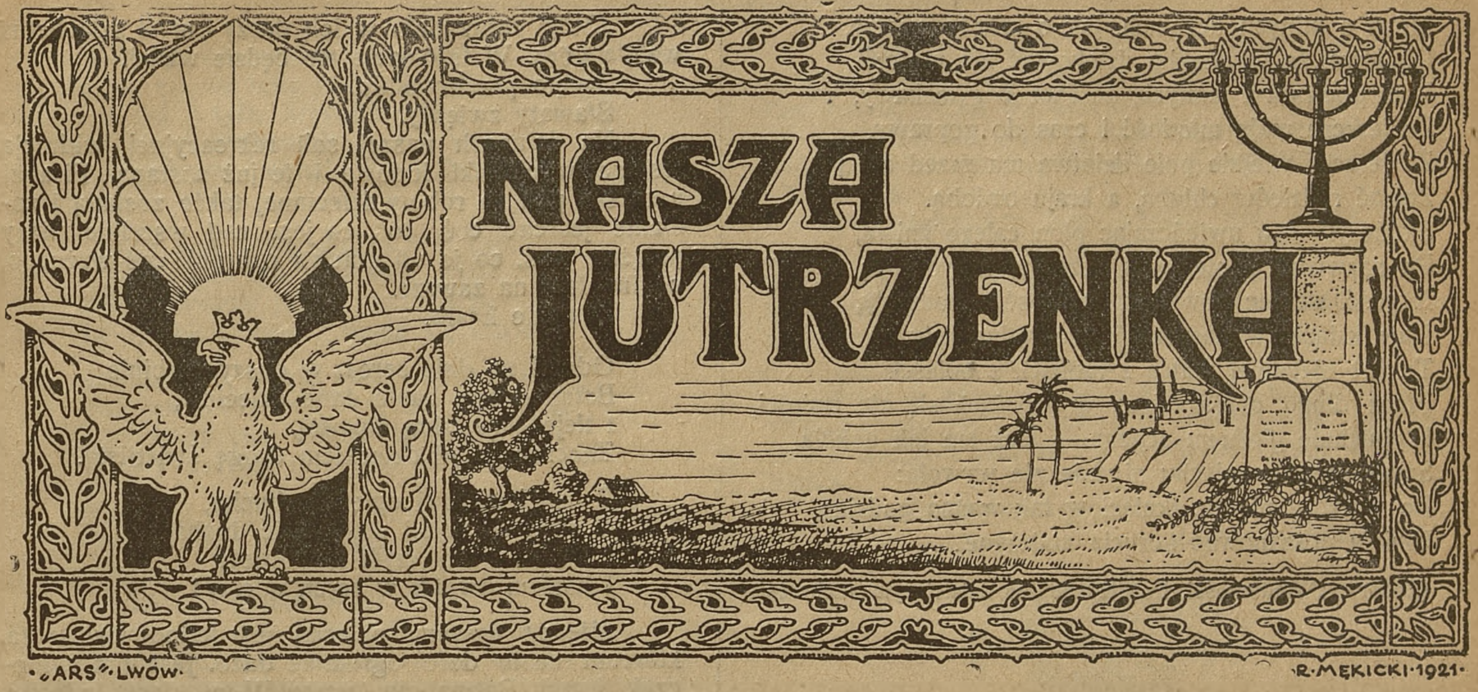
Rok II. Lwów, czerwiec—lipiec 1922. Nr. 14—15.



PISMO DLA DZIECI i MŁODZIEŻY.

WŁADYSŁAW SYROKOMLA.

EGZAMIN.

— chwila stanowcza... nadeszła nareszcie:
Poczciwy Piotruś z dzwonnicy dał sygnał po mieście.
Bieżym w świetnych mundurach, chociaż zdartych nieco
Twarze zapłomienione, a oczy się świecą,
A serce bije silnie, strachem, to nadzieją,
A kto słabego serca, nogi mu się chwieją.
Szykują nas szeregiem, jak kto siedział w klasie,
Tylko dalej przy końcu jest sukurs w zapasie:
Bo pomiędzy nieuki są lepsi uczniowie,
Jak się jeden pomyli — to drugi podpowie,
Ocali honor klasy. Otwarto podwoje:
Strojnych dam, świetnych mężczyzn wsypały się roje;
Księża, profesorowie wiją się przed gronem,
Witają, siedzieć proszą z uprzejmym ukłonem,
Goście zajmują miejsca; ksiądz prefekt po przedzie
Zasłużonego starca z okolicy wiedzie,
Co miał w kraju zasługę, z nauki był znany,
Na zakon kaznodziejski w szczodrocie wylany:
Więc tego sadza w krześle, przy najpierwszym stole,
Oddał ukłon uprzejmy po obecnych kole,
A gdy szmer się uciszył — wstaje ksiądz Łacina,
I z polskiego języka egzamin poczyna.
Z gramatyką nie bawi, rozbioru nie pyta,
Lecz zato w wyższych klasach pieści się do syta.
O Janie z Czarnolasu! o Szymonidesie!
Dotąd wasze piękności moja pamięć niesie,
Dotąd umiem na pamięć hymn rzewny a stary:
„Czego chcesz od nas, Panie, za twe hojne dary?"
Dotąd mi się idylla stara przypomina:
„Kozy ucieszne! kozy ma trzoda jedyna!"
Och! po latach trzydziestu jeszcze dotąd śni się,
Jakem ją deklamował na szkolnym popisie,
Jak głos z początku drżący nabrał dźwięcznej mocy,
Jakem dzielił z Dafnisem jego los sierocy,
Jakem marzył z nim razem przy cichym ruczaju,
Jakem kwilił z ptaszęty w leszczynowym gaju,
Jakem się z trzódką jagniąt na upale nużył; —
Dano mi huczny oklask — czuję, żem zasłużył.
Ksiądz Niemiec i ksiądz Francuz tą samą koleją,
Wyrywają tych, co lepiej rzeczy rozumieją.
A tymczasem publiczność już przegląda pliki,
Nasze prace, pisania, rysunki, zielniki;
Każdy zeszyt z rąk do rąk przechodzi po sali,
Każdy z gości ogląda i każdy je chwali.
A twarz dziatwy naprzemian to krasna to blada,
Zgadniesz, komu największa pochwała wypada;
Z twarzy ojców i matek pokolenie młode
Czyta swą najchlubniejszą, serdeczną nagrodę.
Lecz wystąpił ksiądz Fizyk — i nastały dziwa:
Uczeń zaczarowanych rzeczy dokonywa!
Złączył dwa lotne gazy i stała się woda;
Potem wodę zapalił, gdy znów gazu doda;
Inszy jeszcze dawniejszy pokazywał sposób,
Targnął szklanną machiną całe kółko osób;
Trzeci dokładnie wskazał jak się tworzą burze,
Jakby własną osobą był kiedy na chmurze;
Wreszcie ostatni chłopak, co stał z lewej strony,
Strzelił z flaszy lejdejskiej — egzamin skończony.
Wreszcie powstał ksiądz prefekt i w rzewnej przemowie
Żegna uczniów, rodzicom piękne słówko powie;

Mówi o pilnych uczniach, jak o szkoły wzorze,
Ubolewa, że wszystkim dziękować nie może;
Lecz pociesza i tamtych, że Pan Bóg łaskawy,
Że jeszcze mają młodość i czas do poprawy,
Że jeszcze wielkie pole dziatwa ma przed sobą
Zostać rodziców chlubą, a kraju ozdobą.
Skończył — a uwieńczając plon całego żniwa,
Po nazwisku celniejszych uczniów wywoływa;
A gość, starzec poważny, w sposób uroczysty,
Daje książki w nagrodę i pochwalne listy.
Tu już niejednej matce z radości, z boleści,
Płacz długo przytłumiony w piersiach się nie zmieści,
Wybuchnie głośnem echem — lecz ten jęk dokoła
Szyderczego uśmiechu nigdzie nie wywoła:
Bo wszyscy równie tknięci w tak ważną godzinę,
Umieją poszanować uczucia matczyne....

(Zobacz „Wiadomości Pożyteczne“ w dzisiejszym numerze!)



F. LAZARUSÓWNA.

HASŁO.

Obrazek z życia dzieci w internacie dla sierot w Warszawie.

Ściany naszej sali rekreacyjnej przystrojono barwnemi, ludowemi wycinankami, nad oknami przytwierdzono takie same szlaki, a z nich w pięciu miejscach spływały na dół luźne różnobarwne pasy papieru, a między niemi firanki z białej bibułki, ułożone w drobniutkie fałdy. Było ślicznie, przynajmniej dla nas!

Dzieci zwijały się w miarę sił, możności, by jaknajszybciej poznosić kwiaty i okurzyć sprzęty, bo dzisiaj miało być u nas wielkie święto.

Pani miała dać hasło dzieciom!

W głębi sali była zasłona. Pani sporządziła ją sama i nie pozwoliła nikomu za nią zajrzeć.

— Co tam było?

— Tam była świętość — hasło!

Zabrzmiał dzwonek. Wszyscy się zbiegli. Pani stanęła przed zasłoną. Nie trzeba było upominać nikogo, nikt nie szeptał, nikt się nie ruszał, nastrój był uroczysty.

— Małym dzieciom daję lekarstwo na grzeczność, rzekła pani — są niemi konfiturki. Dając je im do buzi wmawiam, że to lekarstwo pomaga na dobre zachowanie. Wyście już jednak przerośli konfiturki, dam wam więc moje hasło. Hasło na całe życie. W chwili gniewu, gdy się ręka do bicia zechce podnieść, albo gdy usta będą się już miały rozchylić, aby wymówić jakieś niemiłe słowa, powiedzcie sobie: „Stój!“

Odsłoniła zasłonę.

Z ślicznych zielonych gałązek ozdobionych bławatami, ułożone było jej hasło, hasło całego życia:

— „Stój!“ przeczytały dzieci i oddały myśl sercom na wieczne przechowanie.

„Stój“ zabrzmiało w ich duszy i myśl szlachetna wzięła górę. W internacie nie będzie waśni.

Święto przebrzmiało.

Bławaty zwiędły.

Na ścianach naszej sali rekreacyjnej widnieją jeszcze wycinanki ludowe i te już zostaną. Firanki pomysłu pani, a roboty dziecinnej także zostaną i zostanie jeszcze coś, coś, co jest nad wszelkie miary potężne, coś, co je od gniewu ochroni, coś ważnego, co im dała na zawsze.

Zostanie hasło.

Gdzieś na dnie serca, w duszy głębinie
Brzmi drogie hasło dane dziecinie,
I tleje, tleje iskrą złocistą,
Znacząc przed dzieckiem drogę świetlistą.

Z małej iskierki ogień wybucha,
A z jednej myśli dostojność ducha,
I lotem strzały myśl ta pobieży
I hasłem swoim w serca uderzy!

Między naszemi dziećmi jest jedno zwłaszcza, któremu hasło dało ogromnie dużo. Jest nim chłopczyk Jerzyk Barmapow, uczeń IV-tej klasy ludowej. Barmapow wie, co znaczy, gdy krew w żyłach kipi. Barmapow nie umie spędzić dnia bez bójki, często niestety, nawet krwawej. Jest siłaczem i chełpi się tem. Pobił w chwili gniewu pannę kucharkę, bije kolegów i koleżanki w szkole i w internacie. Jedynym nietykalnym dla niego człowiekiem była pani z tem swojem cichem, stanowczem hasłem.

— Powiedz sobie „stój“ chłopcze!

Wtedy opada mu ręka podniesiona do razu i gniew ustępuje miejsca smutkowi.

Długo, długo chodzi Barmapow smutny, a pani mówi:

— On ma wolę i dlatego musimy go szanować.

Wszystkie dzieci woła się u nas po imieniu. Jeśli są dwie Zosie, wołają na nie Zosia i Zochna dla odróżnienia, jeśli jest trzech Janów, wołają Jaś, Janek i Jasiek, jeśli są cztery Marje, wołają: Mania Maryna, Marysia i Marychna.

Jerzyk jest tylko jeden, a jednak tylko jego wołają dzieci po nazwisku, bo taki jest srogi, taki nieprzychylny.

Raz przyszedł do pani ze skargą:

— Pani gospodyni powiedziała nieładny wyraz, pani gospodyni go przezywa!

— Jak przezywa pani gospodyni?

— Pani gospodyni powiedziała: „nie rób takich kombinacyj“ — to mówiąc podkreśla słowo k o m b i n a c y j i znowu skarzy, że to jest brzydki wyraz.

— Stój Jerzyku i pomyśl.

Jerzyk powtórzył sobie hasło i zastanawia się.

— Nie, nikt nie powiedział mu nic brzydkiego i cała rzecz na tem polega, że on nie zna jeszcze wszystkich wyrazów, dlatego może, że jest dzieckiem.

— Czy to, że pobił pannę kucharkę było słusznem? Czy słusznem jest jego postępowanie z dziećmi?

Myśli długo... Potem z własnej, niczem nie przymuszonej woli przychodzi do pani, przyznaje się do winy i mówi, że tak, jak jest, nie może pozostać.

Barmapow chce się zmienić, a pani wierzy, że mu się to uda i mówi mu o tej wierze, gdy jest smutny.

— Pokażesz, żeś nie byle kto, ale człowiek, który ma silną wolę i wie, ku czemu dąży. Mów sobie „stój“, mów sobie „stój“ chłopcze.

I oto nazajutrz, najzaciętszy wróg jego, Stach Czermański przychodzi z tryumfem do pani i mówi,

że w Barmapowie znowu krew zagrała, że zaczerwienił się jak gil, że rękę już podniósł do bicia, gdy on, Stach, stojąc z tyłu, krzyknął:

— Stój Barmapow!

I Barmapow stanął, bo echem powtórzyła to jego dusza.

Dajcie nam wolę, dajcie nam cele.
Hasłem dobrego zdziałacie wiele,
Bo postawicie przed nasze oczy
Myśli, ku którym z dumą się kroczy!

Dajcie nam, dajcie świat dla nas nowy,
Nie ten codzienny, lecz ten duchowy,
Ten, który ceni miłość bliźniego,
Bo my dążymy tylko do niego!

Trzy dni potem zdał Barmapow drugi egzamin:

Oto skrobią dzieci marchew, a on przychodzi i chce jeść.

— To jest marchew na obiad.

Barmapow nie jest jedynym, który chce jeść surową marchew już teraz o dziesiątej. Jest u nas 150 dzieci i jeść chce każde, bo każde marchew lubi, a wy obieraczki, skrobcie sobie dziś wyjątkowo o 150 marchwi więcej!

— Jeśli chcesz marchew, siądź sobie obok Feli, albo obok Stacha, skrob z niemi, a za to skorzystasz.

Barmapow skrobać nie chce i już bić zaczyna.

Wszyscy schodzą mu z drogi, wszyscy, nawet Stacho, pomimo, że jest większy, bo wszyscy wiedzą, że gdy Barmapow bije, stają świeczki w oczach.

Nagle Barmapow pięść opuszcza i chwyta marchew, której mu dać nie chciano. Już jest jego, może ją podnieść do ust i jeść.

— „Stój" Jerzyku!

To nie było żadne złudzenie, to był głos rzeczywisty, spokojny, a stanowczy, to głos pani.

Chłopiec blednie, oddaje marchew, którą wziął bezprawnie i wybiega.

Jeśli kiedyś obrazki z naszego internatu drukowane będą i dostaną się do rąk dzieci, proszę o to, bijcie mu ze mną brawo!

LIST

do gazetki internatu dla sierot w Warszawie.

Wiedziałam dobrze rok, dwa lata temu, że kiedyś opuszczę internat i nie myślałam o tem wcale. Nadszedł wreszcie ten dzień, bo już jestem dorosłą i smutno mi jest.

Smutno żegnać się z tem wszystkiem, z czem żyłam prawie siedm lat. Sprzęt każdy, obraz, rzecz, która się tutaj znajduje, wszystko zdaje mi się mówić:

— Śmiało w drogę, głowa do góry i nie trać nadziei!

Nadziei nie tracę, nie lękam się przeciwności losu — wszak życie szykuje niespodzianki. Internat wskazał mi życie, dał wiosło do ręki i kazał mi żeglować.

Gdy sobie to życie wywalczę, powiem z dumą:

— Nie zawiodłam internatu.

To będzie moja praca i moja zasługa.

Przed wstąpieniem do internatu znałam tylko moje „ja". One mi było przewodnikiem, ono doradcą złych myśli i czynów.

Teraz tak nie jest. Moje „ja" zbladło. Jeżeli kiedyś nie stosowałam się do rad internatu i skrzywdziłam kogoś, to mi wybaczcie.

Internat otworzył przed mojemi oczami świat cudny i pełen czarów. Wszędzie panuje miłość, zgoda, i harmonja.

Przewodnikiem tego świata jest nauka, która jasnym promieniem dusze osnute ciemnym bolem powraca do życia. Internat dał mi wszystko i dziękuję mu! Pannie Fryci dziękuję za hasło „Stój", które także może być przewodnikiem.

Żegnam cię Internacie!

Kiedyś, gdy będę siwą staruszką, najmilsze moje wspomnienia będą o Tobie. W duszy mojej żyć będziesz wiecznie jako dobry przyjaciel i jako kochana matka.

Twoja wychowanica
Gienia Najnudel.

HENRYK SALZ.

O ruchu radosnym.

(*Z „Księgi radości"*).

Idę przez łąki,
Zbijam bąki.

Idę po polu
Wąską ścieżyną
Wśród łanów żyta i kąkolu.
I płynę — tak jak one płyną.

Idę przez miasto ulicą słoneczną.
Ruch!
Ruch mię porywa swą melodją wieczną!
Posuwam się lekko jak duch...

Idę lasem. O, w lesie ja jestem u siebie!
Ze świerków szczytami zanurzam się w niebie
I szumię i huczę i śpiewam jak ptak:
pil-pil, tju-tjuu, tak-taak...

Wzór wytrwałości.

Hillel urodził się w Babilonie i był synem ubogich rodziców. Od najwcześniejszej młodości zdradzał wielkie zamiłowanie do nauki. Ponieważ w rodzinnem mieście nie było wyższych szkół, opuścił ojczyznę i udał się do Jerozolimy, gdzie naukę wykładali słynni uczeni Szmaja i Abtaljon.

Tutaj, w obcem mieście, bez znajomych i krewnych i bez wszelkiej pomocy zabrał się Hillel gorliwie do pracy.

I nie było bynajmniej rozkosznem to życie obcego ucznia, zdanego na własne siły. Zmuszony sam się

utrzymywać, wstawał raniutko, szedł na miasto, by zbierać drzewo, które później na targu sprzedawał. Uzyskany tym sposobem pieniądz dawał w połowie na skromne utrzymanie, resztę zaś wręczał Hillel odźwiernemu szkoły, by uzyskać wstęp na wykłady uczonych. Nauka była wtenczas bezpłatna i przystępna dla każdego; natomiast płacił każdy uczeń codziennie grosz odźwiernemu za utrzymywanie porządku i czystości w budynku szkolnym.

Żył tedy Hillel w niedostatku i głodzie, a znosił to jedynie dla nauki, którą nadewszystko miłował. Zdarzyło się raz, że z powodu słabości nie mógł nic zarobić. Nie miał więc za co kupić sobie kawałka chleba. Biedak nie myślał jednak o głodzie. Dręczyła go tylko obawa, że nie będzie mógł opłacić wstępu i że gotów stracić wykład mędrców.

Poszedł jednakże do szkoły. Odźwierny zażądał należnego mu grosza, a Hillel błagał go ze łzami w oczach, by go wpuścił, lecz napróżno. Zrozpaczony obchodził cały budynek, szukając miejsca, do którego na zewnątrz dolatywałyby słowa uczonych, lecz w ścianach grubych nie odkrył żadnej szczeliny, a żaden dźwięk nie doszedł też jego uszu. W bezsilnej rozpaczy wzniósł oczy w górę i mimowoli powiódł okiem po dachu. Wtem błysła mu myśl, że stamtąd może co usłyszy. W mgnieniu oka dostał się na dach, umieścił się nad górnem oknem sali szkolnej i omal nie wykrzyknął z radości, bo oto widział i słyszał wszystko wybornie. Wykład trwał do późna w nocy, a choć ta jego leżąca pozycja była zbyt niewygodną, ani na chwilę się nie podniósł, chciwie przysłuchując się mędrcom.

Z radości, że i dziś nie stracił wykładu nie odczuwał nawet głodu i zimna. Była to ostra noc zimowa. Gęsty śnieg spadł i niebawem pokrył zupełnie leżącego ucznia.

Nazajutrz z rana znów zgromadzili się uczeni wraz z uczniami w sali wykładowej Zdziwiło ich to bardzo, że choć dzień był jasny i pogodny, było w sali ponuro i mroczno. Wreszcie spostrzegli, że okno było czemś przyćmione. Gdy się bliżej jęli przypatrywać, przekonali się, że jakieś ciało ludzkie zasłania im światło.

Pośpieszyli na dach, odrzucili śnieg i znaleźli biednego Hillela zamarzłego. Zaniesiono go do pokoju i mimo, iż to był dzień sobotni, zapalono ogień i użyto wszelkich środków, by go ocucić, co się też udało po długich usiłowaniach. Wkrótce dowiedzieli się nauczyciele, że gorące umiłowanie wiedzy było przyczyną tego wypadku.

Odtąd zmienił się los Hillela. Mędrcy, poznawszy zdolność i pilność jego, byli mu we wszystkiem pomocni i dali mu możność oddania się w zupełności nauce.

Hillel był wzorem wytrwałego, skromnego ucznia i pracą swą doprowadził do tego, że został najsławniejszym uczonym w Izraelu oraz przewodniczącym najwyższego trybunału (Synhedrjonu). O młodości Hillela mawiali mędrcy: W przyszłem życiu zapyta się Wszechmocny każdego, czy się uczył, a gdy zaś kto tłumaczyć się będzie, iż z powodu ubóstwa nie mógł się uczyć, odpowie mu Sprawiedliwość boska: „A byłeś ty może uboższy od Hillela?“ *ss.*

HENRYK SALZ.

LETNI DESZCZ.

(Z „Księgi radości“).

W dzień letni, ciężki, upalny
zabębniła ulewa w swój takt tryumfalny.
Zalśniły się ulice, w których było szaro
i zagadały głucho swą kamienną gwarą.

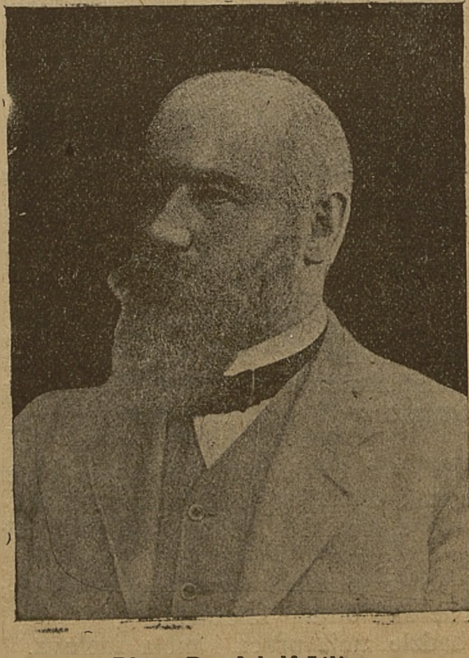
Kolonje wakacyjne i lecznicze dla dzieci.

Bardzo to zdrowo dla dzieci, gdy mogą czas upalnych miesięcy wakacyjnych spędzić na wsi lub w górach. Najbardziej jednak dobroczynną jest wieś dla dzieci chorych, osłabionych lub źle wyglądających. One przychodzą do zdrowia prędko na świeżem powietrzu i przy dobrem odżywianiu.

Nie jest jednak łatwo wszystkim dzieciom, dla których wskazanym jest pobyt na świeżem powietrzu, przepędzić choć kilka tygodni na wsi. Szczególnie cierpią z tego powodu dzieci ubogie i sieroty wojenne.

Ażeby i takim dzieciom pomóc, utworzyli dobrzy ludzie towarzystwa jak: „Polskie Towarzystwo Dzieci na wieś“ lub „Towarzystwo Kolonji wakacyjnych“, które za darmo lub za bardzo małą opłatą wysyłają naraz więcej dzieci na wieś pod dozorem ofiarnych nauczycieli i nauczycielek. Koszt utrzymania takich kolonji jest bardzo wielki, dlatego Państwo nasze, miasta, Komitety Amerykańskie lub ludzie prywatni dają dużo pieniędzy, ażeby dzieciom ubogim umożliwić zdrowy pobyt na wsi.

Ogromne zasługi około tworzenia kolonji wakacyjnych przez wiele lat dla dziatwy wyznania mojżeszowego miał zmarły w r. 1911 wielki obywatel grodu naszego Dr. Adolf Lilien. Jego staraniom zawdzięczyć należy wystawienie budynku w Dębinie obok Skolego na cele kolonji wakacyjnych. W miesiącu czerwcu przypada też rocznica śmierci tego wielkiego męża, który znany był powszechnie ze swojej pracy dla dobra kraju i mieszkańców także na wielu innych polach I dzisiaj budynek w Dębinie przerobiony — będzie służyć dalej jako kolonja lecznicza dla sierót wojennych.



Bł. p. Dr. Adolf Lilien.

A dzieci pamiętać powinny o kolonjach wakacyjnych i ich twórcach.

I miasto roześmiało się bruków asfaltem,
dudniącą blachą rynien i gmachów bazaltem.

A drzewa
zmyte nagłym deszczem,
wstrząsnęły się rozkosznym dreszczem
i słuchają, jak woda bulgocze i śpiewa,
pluszcząc, klaszcząc i tańcząc, w ścieki się przelewa.

Dzieci wśród żartobliwych szturchańców i dąsów
cisną się do szumiących po rowach strumyków.
Wśród buńczucznych okrzyków
i śmiechów i pląsów
wchłaniają w zgrzane nóżki wilgny chłód kamyków...

Szczęsna, o jakże szczęsna jesteś nóżko drobna,
upojona igraszką w rzeźwej fali zdroja!
Błogosławiona mi, każda z osobna,
twoja — i twoja...

Lat mi ujmijcie, co mię od was dzielą
i włos mi bielą:
pohasam z wami, wśród zgiełku i krzyku,
bosy w strumyku...

JANINA KOSSAK-PEŁEŃSKA.

Tajemnica Izia i Dyzia.

(Dokończenie.)

Lecz ojciec, chcąc jak najprędzej dowiedzieć się o tej niepokojącej tajemnicy swoich synków, rozstrzygnął:

— Opowiedz ty Iziu!

Więc Izio przestępując z nogi na nogę z wielkiego zakłopotania, rozpoczął opowiadanie, a Dyzio grą twarzy i ruchami ilustrował wie nie słowa brata.

— Otóż tatusiu, było to tak: Ty wiesz... my jesteśmy bardzo roztargnieni, co raz to coś zapominamy wziąć do szkoły... a potem to musimy słuchać napomnień nauczycieli, a co gorsza tych dokuczliwych drwinek kolegów. Przed paru miesiącami miała być godzina dyktatu... Wtem na przerwie spostrzegliśmy się, że zapomnieliśmy piórnika i nie będziemy mieli piór do pisania. Krew nam uderzyła do głowy, ile to znowu trzeba będzie znieść docinków... Zaczęliśmy szukać w torbach i w pulpicie... Zauważył to Franuś B. zbliżył się do naszej ławki i zapytał szeptem:

— Widzę po waszych minach, że znowu musieliście coś zapomnieć...

A musisz wiedzieć tatusiu, że choć myśmy się zawsze trzymali od Franusia zdaleka, to on nie tylko nigdy nie wyśmiewał się z nas wraz z innymi chłopcami, ale nawet kilka razy wziął nas w obronę, gdy nam zanadto dokuczano...

A wtedy rzekł:

— Czekajcie — i poszedł do swojej ławki, a po chwili powrócił, wysunął z dłoni nieznacznie dwa pióra na nasze pulpity i powiedział — Macie, ja na szczęście wziąłem dziś kilka piór ze sobą, bo po szkole mam je sprzedać komuś.

Ucieszyliśmy się bardzo...

Lecz on uśmiechnął się tylko tak bardzo smutno i powiedział: Weźcie, mnie tak cieszy, że was m gę uchronić od przykrości, bo nie mogę znieść tego głupiego naśmiewania się.

A potem... ten Franuś przez wszystkich odpychany i pogardzany wydał się nam taki dobry, lepszy od innych, że coś nas pchało nieprzezwyciężenie zapytać go, dlaczego on się tak zaniedbuje i zasługuje na nagany...

Z początku nie chciał mówić, ale gdyśmy nalegali, machnął ręką i rzekł:

— Ha no, bo taka moja dola. Jak tu chodzić do szkoły regularnie, jak się tu uczyć, kiedy matka ledwie nogami włóczy za tym zarobkiem, sterana i chorowita; mała siostrzyczka w domu piszczy nieraz z głodu, bo ojca nie stało... padł na wojnie i tyle... To jak widzę, to mi nie w głowie nauka, czepiam się pazurami byle jakiego zarobku, czy kto da zapałki, czy papierosy do rozsprzedaży... ot żeby bodaj coś zarobić i kupić małej kapkę mleka, przynieść do domu bochenek chleba...

Kiedy nam to powiedział, to zrobiło się nam aż wstyd, że my wszystko mamy, a ten biedny Franuś nie ma nic i dlatego uczyć się nie może. No i tak uradziliśmy, że będziemy mu oddawać wszystkie pieniądze, które dostajemy na przekąski, czy rozrywki...

No, a w czasie przedstawień musieliśmy chodzić na spacer, żeby się w domu nie wydało, że nie chodzimy do teatru — wtrącił znowu Dyzio...

— A jakże Franuś przyjął wasze ofiary? — zapytał ojciec.

— On? Mieliśmy dosyć kłopotu zanim się zgodził... Aż musieliśmy powiedzieć, że my kupujemy od niego ten czas, w którym on handluje, aby go obracał na naukę. Wtedy się zgodził, ale powiedział, że bierze te pieniądze tylko jako pożyczkę, którą nam odda, gdy wyrośnie.

I teraz, tatusiu, możesz się dowiedzieć, czy Franuś nie chodzi regularnie do szkoły i czy się nie poprawił w nauce — zakończył z dumą Izio.

Z oczu pana Z. wyczytać można było wzruszenie.

— Dobre z was chłopaki — rzekł — Widzę, że choć popełniliście błąd ukrywając wasz postępek przed rodzicami, do których dzieci winny miec zawsze zaufanie, niemniej macie szlachetne serduszka i czyn wasz był dobry, dlatego zamierzam przystąpić do zawiązanej przez was kompanji, — dodał z uśmiechem.

Istotnie p. Z. dowiedziawszy się, że Franuś od czasu udzielanej mu przez jego synków pomocy stał się pilnym uczniem, nabrał przekonania, że był on też dobrym chłopczykiem, którego tylko smutna dola pchnęła na ulicę. Postarał się więc dla jego matki o pracę nie przechodzącą jej sił, a wystarczającą na utrzymanie. Franusia zaś wziął do siebie do domu aż do czasu ukończenia przez niego nauki w szkole

I tęraz zamiast bliźniaków można widzieć wszędzie trójkę dzielnych chłopców: Izia, Dyzia i Franusia.

Dr. E. BYK.

List od stryja.

Kochane dziatki!

List ten dojdzie do rąk Waszych, gdy się już będziecie wybierały na wielkie wakacje i wszystkie cieszyć się będziecie możliwością wypoczynku kilku-

tygodniowego po pracy całorocznej w szkole. A chcę przytem wierzyć, żeście się wszystkie równie pilnie i sumiennie przykładały do nauk, i z całą gorliwością przyswajały sobie te wszystkie piękne i pożyteczne wiadomości, jakie obecnie daje Wam nasza narodowa polska szkoła.

I pod tym względem jesteście szczęśliwsze od nas starszych. Bo my w dawniejszej szkole tu w Małopolsce tylko niewiele mogliśmy się dowiedzieć o Polsce, a w byłem Królestwie Polskiem lub w Poznańskiem zupełnie niczego prawdziwego o naszej Ojczyźnie się nie dowiadywaliśmy, a nawet wogóle po polsku mówić, ani uczyć się nie pozwalano; natomiast zmuszano nas, byśmy się więcej o obcych uczyli krajach np. o Niemczech, Rosji i Austrji, a nawet tu w Małopolsce, w tym jedynym kraju, gdzie pozwalano nam uczyć się po polsku, uczono w gimnazjach i szkołach realnych dwa razy tyle godzin tygodniowo języka niemieckiego, co polskiego.

Teraz jest już, chwała Bogu, inaczej.

W polskiej szkole, po polsku się uczyć i o Polsce wiele pięknych rzeczy dowiadywać się możecie bez przeszkody. Więc korzystać z tego winniście tem bardziej, że i książki macie bardzo dobre i prawie zawsze z pięknemi obrazkami, które w dawniejszych książkach szkolnych tylko bardzo rzadko były umieszczane.

Używajcie więc nadchodzących wakacji dowoli, wypocznijcie dobrze, byście w jesieni z pełnemi siłami zabrać się mogły na nowo do pracy.

A teraz jeszcze Wam tylko króciutko donoszę, że tuż po zakończeniu roku szkolnego odbędzie się we Lwowie zlot Sokołów z całej Polski. „Sokół“ nazywa się towarzystwo gimnastyczne, które istnieje już kilkadziesiąt lat i do którego należą i młodzież i starsi ludzie, dbali nietylko o rozwój sił fizycznych przez ćwiczenie gimnastyczne, ale także i o wyrabianie charakteru tudzież poczucia narodowego. Sokoli też wraz z innem stowarzyszeniem, zwanem „Związkami Strzeleckiemi“, stworzyli w r. 1914 w chwili wybuchu wojny światowej pierwsze Legjony Polskie pod dowództwem naczelnika Piłsudskiego i gen. Hallera. Legiony te walczyły o Polskę przez lat przeszło cztery, a potem weszły w skład Wojska Polskiego. Sokoli przed wojną nosili bardzo piękne popielate mundury z czerwonemi koszulkami, a w czapkach mieli sokole piórka. Sokół istnieje też w Poznańskiem, ale tam dawniej był stowarzyszeniem tajnem, bo Prusacy prześladowali jego członków. Zlot Sokołów we Lwowie będzie niezawodnie bardzo piękny i okazały, bo to pierwszy zlot w wolnej, niepodległej Polsce.

Na koniec wypada mi szczerze i serdecznie podziękować tym wszystkim, którzy do mnie pisali w ostatnich czasach. Szczególnie wzruszył mię piękny dowód pamięci ze strony kochanych siostrzeniczek z Vb klasy szkoły im. Jana Długosza w Krakowie, zwłaszcza także list napisany przez Paulinę Jakubowiczównę i wierszyk Berty Grossównej. Z całego serca dziękuję wszystkim Wam za tyle serca i za dobre i piękne słowa. Zapewniam też wszystkich: siostrzenice i bratanków, że mi samo pisanie do Was sprawia naprawdę wielką uciechę i rozkosz i w tem znajduję najwyższą radość, że listy moje czytacie z pożytkiem dla siebie. Rad też czytam Wasze do mnie liściki. Piszcie więc często, zwłaszcza teraz, z wakacji, gdyż obowiązki nie pozwalają mi tego roku wyjechać na urlop.

Ściskam Was serdecznie i całuję

Wasz Stryj.

RUDYARD KIPLING.

O motylu, który tupał.

(Bajka indyjska.)

Sulejman-bin-Daoud był mądry. Rozumiał, co mówiły zwierzęta, co mówiły ptaki, co mówiły ryby, co mówiły owady. Rozumiał, co mówiły do siebie kryształy głęboko w ziemi, kiedy chyliły się ku sobie i jęczały, rozumiał, co mówiły drzewa, gdy szemrały rano. Rozumiał wszystko od palmy daktylowej w sadzie, aż do hyzopa (kwiatu) pod murem.

Sulejman-bin-Daoud był potężny. Miał na trzecim palcu prawej ręki pierścień. Kiedy obracał go raz, Afrity i Dżiny (duchy) wychodziły z pod ziemi, aby robić wszystko to, co im kazał. Kiedy obracał go dwa razy zstępowały z nieba wróżki, aby mu były posłuszne, a kiedy obracał go trzy razy, przychodził ubrany jako przewoźnik po wodzie największy anioł Azrael, ten od miecza, i opowiadał mu nowiny z trzech światów ponad nim, pod nim i tuż obok niego.

A jednak Sulejman-bin-Daoud nie był dumny. On tylko rzadko wynosił się ponad innych. A gdy się zdarzało, że to uczynił, było mu przykro z tego powodu.

Razu pewnego poszedł między lilje, róże i kanesy i ciężko pachnące rośliny imbiru, które rosły w ogrodzie, aż doszedł do dużego kamforowego drzewa, które nazywano jego imieniem. Tam spostrzegł dwa motyle, które zaczęły latać, kłócąc się. Sulejman-bin-Daoud usłyszał, jak jeden mówił do drugiego: „Dziwię się twojej zarozumiałości, że mówisz do mnie w ten sposób. Czy nie wiesz o tem, że gdybym tupnął nogą, cały pałac Sulejman-bin Daouda i ten oto ogród zniknąłby natychmiast z łoskotem pioruna.“

Wtedy Sulejman-bin-Daoud zaczął się śmiać bardzo nad chełpliwością motyla, aż drzewo kamforowe trzęsło się. Wyciągnął palec do motyli i rzekł: „Mały mężu, chodź tu!“

Motyl przestraszył się okropnie, ale przyfrunął na rękę Sulejman-bin-Daouda i zaczął się wachlować. Sulejman-bin-Daoud nachylił wtedy głowę i szepnął bardzo łagodnie.

— Mały mężu, ty wiesz, że całe twoje tupanie nie zegnie nawet źdźbła trawy. Co zmusiło cię do opowiadania tego okropnego kłamstwa twojej towarzyszce?

Motyl spojrzał na Sulejman-bin-Daouda i zobaczył najmądrzejsze królewskie oczy błyszczące, jak gwiazdy w mroźną noc; wzniósł skrzydła dla dodania sobie odwagi i rzekł:

— O królu, żyj wiecznie! Chciałem nastraszyć towarzyszkę swoją, bo kłóciła się ze mną cały ranek.

I Sulejman-bin-Daoud rzekł: „oby to ją uspokoiło. Wracaj do niej mały braciszku i pozwól mi słuchać, co będziesz dalej mówił.“ Motyl poleciał z powrotem do swojej towarzyszki, która cała drżała pod liściem i zapytała: „I cóż Sulejman-bin-Daoud powiedział?“

— Dobrze — rzekł motyl, wachlując się z największą powagą — mówiąc między nami, nie ganię go wcale, gdyż pałac kosztował pewno sporo, a pomarańcze pewno w ogrodzie dojrzewają, — on prosił mię, abym nie tupał i obiecałem, że tego nie będę robił.

— „Miłościwy“ — rzekła towarzyszka jego i siedziała zupełnie spokojnie, a Sulejman-bin-Daoud śmiał się, aż łzy spływały mu po twarzy, nad bezczelnością małego motyla.

Towarzyszka motyla naigrawała się tymczasem dalej z niego.

— To nie miałoby znaczenia, gdybyś uczynił. Nie potrafiłbyś zgnieść źdźbła trawy swojem tupaniem. Wzywam cię, abyś to uczynił. Tupaj! Tupaj! Tupaj! Więc motyl rozgniewany i napuszony zwrócił się do Sulejmana:

— Ona żąda, abym tupał. Chce zobaczyć, co się stanie. O Sulejman-bin-Daoudzie! Wiesz, że tego nie mogę uczynić, a ona teraz nie będzie wierzyła żadnemu słowu, które powiem. Będzie się śmiała ze mnie do końca życia.

— Nie, mały braciszku — rzekł Sulejman — ona nigdy nie będzie się śmiała więcej z ciebie. Obrócił pierścień na swoim palcu przez miłość do małego motyla, a nie dla tego, aby się wywyższyć — i oto patrz — cztery ogromne Dżiny wyszły z pod ziemi.

— „Niewolnicy“ — rzekł Sulejman-bin-Daoud — „kiedy ten oto pan na moim palcu tupnie swoją lewą przednią nogą, zrobicie tak, aby mój pałac i te oto ogrody zniknęły z uderzeniem pioruna, a kiedy tupnie znów przyniesiecie je ostrożnie z powrotem“.

— Teraz, mały braciszku — rzekł on — idź z powrotem do swojej towarzyszki i tupaj, ile będziesz chciał.

Motyl odleciał do towarzyszki, która krzyczała wciąż: Tupaj! Tupaj!

I motyl wrócił na rękę Sulejmana i tupnął.

Dżiny uniosły pałac i ogród na tysiąc mil w powietrze; dało się słyszeć straszne uderzenie grzmotu i wszystko stało się czarne jak atrament. Towarzyszka motyla trzepotała skrzydłami w ciemności lamentując: „O ja będę już dobra, żałuję, że się sprzeczałam. Przynieś tylko ogród z powrotem.

Motyl był prawie tak samo przestraszony jak jego towarzyszka, a Sulejman-bin-Daoud śmiał się, wreszcie szepnął do motyla: „Tupnij znów mały braciszku, oddaj mi z powrotem mój pałac, najpotężniejszy czarowniku“.

— Tak, zwróć mu z powrotem pałac — rzekła towarzyszka motyla — i nie czyń więcej czarów!

Tupnął więc jeszcze raz motyl i w tym samym momemcie Dżiny opuściły pałac i ogrody nawet bez wstrząśnienia. Słońce świeciło na ciemnych pomarańczowych liściach, wodotryski grały pośród różowych egipskich lilij, ptaki w dalszym ciągu śpiewały, a towarzyszka motyla leżała na boku pod kamforowem drzewem, trzepocąc skrzydłami i drżąc mówiła: O, będę już dobra, nie będę się już sprzeczała i kłóciła!

Kalendarzyk historyczny.

Maj 17. — 1863. Romuald Traugut pobił oddziały moskiewskie pod Horkami po powstaniu styczniowem.

Maj 26. — 1831. Bitwa pod Ostrołęką po powstaniu listopadowem.

Maj 29. — 1861. Zmarł Joachim Lelewel, zasłużony historyk polski i profesor na uniwersytecie wileńskim.

Czerwiec 2. — 1624. Urodził się Jan Sobieski w Olesku w województwie lwowskiem.

Czerwiec 6. — 1818. Zmarł Henryk Dąbrowski, twórca i generał legjonów polskich za czasów Napoleona.

Czerwiec 9. — 1815. Uchwalono na Kongresie wiedeńskim utworzenie Królestwa polskiego po upadku Napoleona.



Wiersz w numerze dzisiejszym p. t. „Egzamin“ napisał poeta Władysław Syrokomla. Prawdziwe jego nazwisko było Ludwik Kondratowicz. Urodził się w r. 1823 na Litwie, szkoły odbył w Nieświeżu i w Nowogródku na Litwie. Napisał wiele dzieł, z których najwięcej znane są „Jan Dęboróg“ i „Gawędy“. Umarł w r. 1862.

W utworze p. t. „Egzamin“ przedstawia poeta zakończenie roku szkolnego w szkole w Nieświeżu na Litwie, gdzie pobierał nauki. Był bowiem zwyczaj do niedawna w szkołach, że na końcu roku szkolnego odbywały się egzamina uczniów uroczyście, wobec mężów znanych z nauki, rodziców i krewnych. Taki właśnie egzamin opisuje poeta. Szkoły były dawniej przy klasztorach, a nauczycielami byli głównie księża. „Piotruś“, o którym mowa, to był dzwonek szkolny w klasztorze w Nieświeżu.

Domyślacie się zapewne, że Jan z Czarnolasu, to nikt inny tylko poeta polski Jan Kochanowski, Symonides wspomniany we wierszu, był to poeta grecki, a słowo sukurs znaczy pomoc.

Obchód Konstytucji 3. Maja. W szkole męskiej im. Czackiego we Lwowie, odbył się dnia 20. maja b. r. piękny poranek ku czci konstytucji 3. maja i Rodaków naszych w Ameryce. Podobał się dlatego, bo go urządziła dziatwa wyznania mojżeszowego pod kierunkiem swoich dobrych nauczycielek i nauczycieli.

Program obejmował: piękne przemówienie ucznia; pieśń „Cześć polskiej ziem“; obrazek sceniczny „Święto Trzeciego Maja“; pieśń „Mazurek“; deklamację zbiorową ku czci R daków z za Oceanu; pieśni „Straż nad Wisłą“, „Polonez“, „Hymn Rzeczypospolitej“; deklamację „Koncert Jankiela“ przy akompaniamencie skrzypiec, żywy obraz.

Poranek odbył się w ogrodzie szkolnym, pięknie przystrojonym, a zebrani licznie uczniowie, rodzice i goście oklaskiwali wykonawców — uczniów. Wkońcu jeden z gości, radny miasta Lwowa, p. Appel, przedstawił w pięknych słowach dziatwie i rodzicom, jakie obowiązki nakłada na nas Konstytucja, t. zn. nadanie praw — wobec Państwa i narodu, oraz dziękował dyrektorowi szkoły p. Musze i ofiarnemu gronu nauczycielskiemu za urządzenie tak pięknej uroczystości.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 13.

Zagadka rachunkowa: W klasie IV. było 23 uczniów, w III. — 27 uczniów, w II — 35 uczniów, a w kl. I. — 38 uczniów.

Szarada: 1 — 2, ka-ra, 1 — 3 ka-wa, 2 — 3 Ra-wa, 4 — 3 na-wa, 2 — 4 ra-na, 2 — 1 ar-ka, 1 — 4 — 4 Ka-na-an, całość ka-ra-wa-na.

Pytania żartobliwe: zwierzę; w lustrze; ślimak; przy namalowanym.

ZAGADKI NOWE.

Zadanie zgłoskowe

nadesłane przez Janinę B.

nie	go	cie	li	ski	li
zna	swe	dze	chwa	wio	czne
sa	cie	cu	cie	ten	te
wie	mi	al	da	ne	kraj
cie	nie	sia	boż	cz	ko
co	po	nie	śli	cha	ny

Ze zgłosek powyższych ułożyć początek znanego wiersza Wincentego Pola.

Zagadka rachunkowa

nadesłana przez O. Steina.

Pewien chłopiec zapytany, ile ma lat, odpowiedział: za lat 8 będę miał dwa razy tyle lat, ile przed dwoma laty. Ile lat ma obecnie?

Szarada

nadesłana przez D. Kohana.

Są duże, a tylko 100 mają,
Zaś jeden mały — lik cały!
Jeden okrągły, inny znów długi
Ten rozciągają, by był na usługi
W święta Wielkiejnocy.
Ale i mały może być wspaniały
Gdy ubierzecie, teraz odgadniecie
Bez żadnej pomocy.

Trafne rozwiązanie zagadek nadesłali:

Lwów: Liljana i Jerzy Lubinger, Andzia Margules, Fryd. Ostermanówna, Jadwiga Bergmanówna, Norbert Reiser, N. Haselnus, I. Mak, M. Berger, I. Altschüler, E. Münzer, A. Podhorzer, J. Neuwelt, I. Auster, D. Góralnik, H. Nagelberg, S. Gelband, C. Landes, S. Graup, J. Preminger, A. Schwarz, M. Toker, J. Schechter, A. Pechner, S Russman, M. Schiffman, W. Pisen, R. Wilczer, G. Rotenberg, K. Feuering, B. Körner, M Landau, M. Leist, I. Zipper, M. Berger, G. Birn, I. Lewites, A. Wallach, M. Fisch, L. Hart, W. Falik, M. Katz, J. Erb, Z. Leist, S. i Z. Barg, Sz. Gruber, H. i D. Hacklówne, K. Keller, S. i R. Bienenwald, I. Brand, T. Letzter, S. i K. Guttman, Ch. Klarberg, I. O. Reinhold, L. Marokus, H. Długopiat, M. Mamber, M. Meller, I. Limmer, L. Bartówna, E. Silberschmidtówna, Kram J., A. Sauerstein, I. Graf, J. Kalt, Z. Weinsaft, K. Dorfman, S. Blum, P. i D. Holzman.

Warszawa: Djana Szymonberżanka, L. Nowomiast M. Korngut, J. Naft.

Kraków: G. Spatz, L. Bach, J. Seide, I. Beer, Moneck, B. Goldsteinówna, S. Rotter, Z. Demmer, M. Lammel, J. Bester, P. Diamant, M. Liebfeld, L. Schrage, H. Waldman, Ch. Sommer, H. Mehl, Ch. Horn, M. i Mann.

Drohobycz: F. Baum, R. Rattner, G. Silber, O. Kitaj, R. Koch i Sperling, L. Krohn, M. Jäger, M. Kessler, J. Schlossman, S. Reich.

Borysław: H. Goldfischer, A. Scheinfeld, G. Berg, F. Sattler.

Lublin: M. Steingut, Ch. Opatower.

Zabłocie koło Żywca: Blanka Löblowitz, B. Kleinówna.

Stryj: Maniusia Apfelgrün, Anna Dickman, Genia Garfunkel, Pepka Reinstein, J. Weinberg, M. Kellerówna, O. Altman, Tonia Ehrlichówna, M. Nass, Z. Morgenstern, F. Zellermajer, B. Kraut, L. Senfner.

Kołomyja: Jetti Bildner, L. Sperber, W. Rabinowicz, K. Reiter.

Nadwórna: A. Silberówna, L. Federbusch, N. Knoll, G. Aboszówna.

OD REDAKCJI.

„Jutrzenka“ wychodzi w dniu dzisiejszym za czerwiec i lipiec, zaś 15. września b. r. wyjdzie za sierpień i wrzesień.

Wszystkim Czytelnikom naszym zasyłamy życzenia wesołych i przyjemnych wakacji.

Prosimy: 1) o nadsyłanie rozwiązania zagadek przed upływem wakacji, 2) o wiadomości jak wypadła klasyfikacja Wasza, 3) o opisy jak spędziliście czas wakacyjny. Opisy dobre umieścimy w następnym numerze.

„Nasza Jutrzenka“ Jedyne pismo polskie (ilustrowane) dla dzieci i młodzieży żydowskiej. Wychodzi raz na miesiąc. — Numer pojedynczy 40 Mkp., z przesyłką 42 Mkp., Konto czekowe P. K. O. Nr. 149.547. **Redakcja i Administracja: Lwów, Janowska 26.**

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Dawid Berlas.** Z Drukarni Polskiej we Lwowie, pod zarz. J. Raczyńskiego.

Redakcja i Administracja: Lwów, Janowska 26.